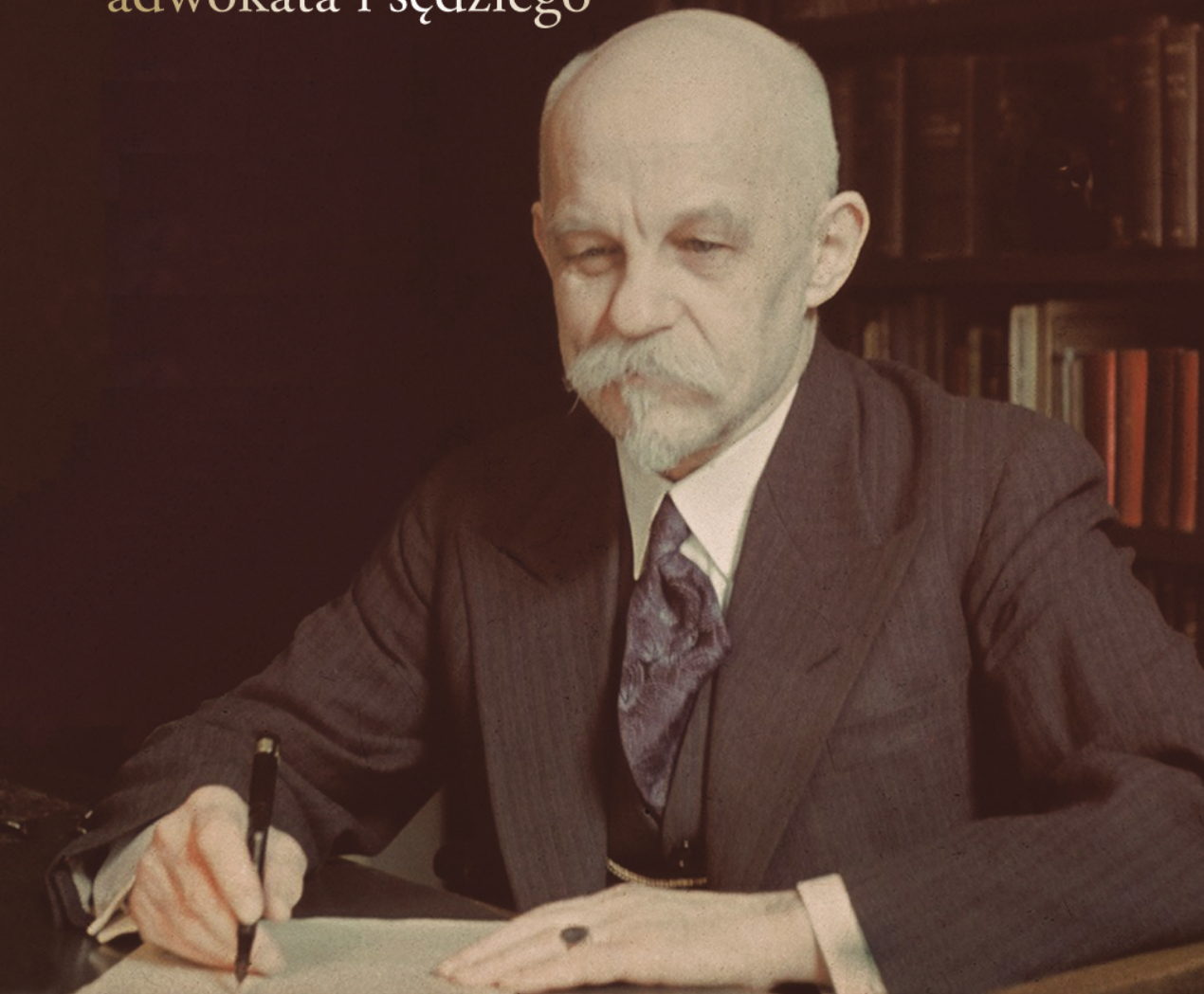


ALEKSANDER MOGILNICKI

Wspomnienia
adwokata i sędziego



Wolters Kluwer



Alexander Bogdanov.

ALEKSANDER MOGILNICKI

Wspomnienia
adwokata i sędziego

Wydanie publikacji zostało dofinansowane
przez Naczelną Radę Adwokacką

Wydawca
Małgorzata Stańczak

Redaktor prowadzący
Katarzyna Gierłowska

Projekt okładki
Grafos

Łamanie
Fotoedytor

Zdjęcia na okładce, stronie kontrtytułowej oraz w książce
prywatne zbiory *Barbary Izdebskiej*

Zapis cyfrowy przygotował *Jan Izdebski*
na podstawie kopii maszynopisu
z odręcznymi poprawkami (uzupełnienia i skreślenia)
wprowadzonymi przez *Autora*

Uwagi w książce podane w nawiasach kwadratowych
pochodzą od *Barbary Izdebskiej*

© Copyright by
Barbara Izdebska, 2016

ISBN: 978-83-8092-455-0

Dział Praw Autorskich
01-208 Warszawa, ul. Przyokopowa 33
tel. 22 535 82 19
e-mail: ksiazki@wolterskluwer.pl

www.wolterskluwer.pl
księgarnia internetowa www.profinfo.pl

SŁOWO WSTĘPNE

Prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej przy współpracy z Wolters Kluwer SA postanowiło przypomnieć i przybliżyć osobę Aleksandra Mogilnickiego, niezwykłego prawnika, humanisty i obywatela, uczonego i profesora kilku wyższych uczelni, znaczącego pedagoga, edytora i publicysty prawniczego, członka licznych krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych – a przede wszystkim wybitnego sędziego i kodyfikatora oraz znakomitego adwokata i obrońcy. Chce to uczynić za pomocą publikacji *Wspomnień adwokata i sędziego* spisanych przez Niego w Łodzi w latach 1949–1955, a przygotowanych do druku w latach następnych przez Jego wnuczkę panią Barbarę Izdebską¹.

Aleksander Mogilnicki urodził się 16 kwietnia 1875 r. jako syn Konstantego i Henryki z Żarnowskich. Ojciec powstaniec styczniowy i więzień polityczny caratu, z wykształcenia prawnik wykonujący początkowo, po wyjściu z więzienia funkcje obrońcy sądowego, a następnie zawód rejenta (notariusza), miał istotny wpływ na wychowanie patriotyczno-obywatelskie i wykształcenie swoich dwóch synów. Słynne było jego powiedzenie: „Trzech ludzi musi umieć rozmawiać z człowiekiem: lekarz, ksiądz i adwokat”. Jeden z jego synów został lekarzem, a drugi prawnikiem, adwokatem.

Aleksander Mogilnicki po ukończeniu w 1892 r. gimnazjum w Łodzi, gdzie z powodzeniem wypróbowywał swe uzdolnienia literackie, za namową ojca zapisał się na Wydział Prawa Cesarskiego Uniwersytetu

¹ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, Warszawa, 2008, s. 235; K. Śmiechowski, *Garść refleksji na temat pierwszego wydania Wspomnień Aleksandra Mogilnickiego*, „Studia z historii społeczno-gospodarczej. Artykuły recenzyjne, recenzje i omówienia” 2011, t. IX, s. 379–391.

Warszawskiego. Od początku studiów podjął działalność patriotyczną i społecznikowską w tajnej „Bratniej Pomocy” oraz w kółku samokształceniowym „Jutrzenka”. W tym czasie ujawnił również swój talent oratorski. Za prace naukowe w latach 1894–1896 otrzymał dwa medale: srebrny za rozprawę *Teoria prawna Iheringa*, złoty za kończącą studia pracę kandydacką – pionierską w treści i formie rozprawę *Ustrój sądownictwa w Zachodniej Europie i Rosji*. W 1896 r. rozpoczął praktykę prawniczą w kancelarii znanego warszawskiego adwokata Leona Błaszковского. W tym czasie począł bliżej interesować się prawem karnym. W latach 1897–1899 był aplikantem w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Nawiązał współpracę z „Gazetą Sądową Warszawską” (dalej: GSW), której redaktorem naczelnym był wybitny adwokat Henryk Konic. Na łamach GSW opublikował wiele prac z zakresu prawa administracyjnego i prawa karnego. Praca pt. *Sądy Administracyjne* stanowiła pierwsze opracowanie tego tematu w polskiej literaturze prawniczej obszaru zaboru rosyjskiego. Z zakresu prawa karnego ukazały się artykuły: *Czy kara hańbi?*, *O terminie siedmiodniowym w ustawie postępowania karnego*, *Indywidualizacja kary*. W tym samym czasie w czasopiśmie „Ateneum” opublikował ważną pracę pt. *Sąd przysięgłych*. W pracach tych, które w większości ukazały się w wersji książkowej, występował jako jeden z pierwszych, obok Juliusza Makarewicza i Wacława Makowskiego, przedstawicieli pozytywizmu socjologicznego w nauce prawa karnego.

Po zakończeniu aplikacji sądowej i zdaniu egzaminu Aleksander Mogilnicki powrócił do Łodzi, gdzie jako pomocnik adwokata przysięgłego wraz z kolegą Janem Czeraszewiczem założył, w styczniu 1900 r., kancelarię adwokacką. W 1901 r. Mogilnicki otrzymał nominację na adwokata przysięgłego i od tego momentu prowadził samodzielnie własną kancelarię, szybko zdobywając szeroką praktykę i renomę znawcy rosyjskiej procedury karnej. W tym samym roku opublikował w „Ateneum” interesującą rozprawę, którą można nazwać „adwokacką”, pt. *Obrońca kryminalny a opinia publiczna*. Kwestie te jeszcze rozwinął w pracy *Pierwiastek zemsty w pojęciu kary*, ogłoszonej na łamach „Themis Polskiej” w 1916 r. Temat ciągle aktualny, a może jeszcze bardziej niż w tamtych czasach.

W 1905 r. Mogilnicki był delegatem z Łodzi na tzw. Zjazd Ziemców, tj. przedstawicieli rosyjskiego samorządu ziemskiego i miejskiego w Moskwie. W tym samym roku prawdopodobnie brał udział w zjeź-

dzie założycielskim Związku Adwokatury Polskiej, na którym podjęto słynną uchwałę mówiącą m.in., iż „Związek Adwokatury ma na celu ochronę praw narodu polskiego oraz zespolenie działalności zawodowo-społecznej adwokatów Polaków z uwzględnieniem w obu tych kierunkach czynnika politycznego”.

W 1906 r. Mogilnicki bezskutecznie kandydował do Dumy Państwowej. W tym samym roku przyczynił się do powołania polskiego gimnazjum w Łodzi o nazwie „Uczelnia”, w którym został nauczycielem historii. Prowadził też wykłady z prawa handlowego. Wydał podręcznik do ogólnej nauki prawa w szkołach średnich. Należał do Towarzystwa Prawniczego w Łodzi, był członkiem zarządu oddziału łódzkiego Macierzy Szkolnej, prezesem oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej. Wygłaszał odczyty i wykłady z prawa i historii. Napisał wiele haseł do *Wielkiej Encyklopedii Powszechniej Ilustrowanej* oraz do dwutomowej *Encyklopedii Handlowej* Orgelbranda². Opublikował wiele rozpraw naukowych i utworów literackich. Publikował w gazetach i czasopismach: w GSW, „Ateneum”, „Bluszczu”, „Gońcu Łódzkim”, „Ogniwie”, „Ognisku Rodzinnym”, „Tygodniku Polskim”.

W latach 1908–1911 odbył dodatkowe studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uzyskał stopień doktora praw. W 1910 r. został członkiem Towarzystwa Więziennictwa w Paryżu.

W 1911 r. przeniósł się z rodziną do Warszawy, gdzie podjął praktykę adwokacką. Wykładał równocześnie prawo karne oraz prawo cywilne w Towarzystwie Kursów Naukowych, określanym mianem Uniwersytetu Latającego, które przekształciło się w 1918 r. w Wolną Wszechnicę Polską, w której Mogilnicki wykładał przez cały okres międzywojenny. Był też wykładowcą w Szkole Nauk Społecznych i Handlowych (zmienionej później na Szkołę Nauk Politycznych).

W 1912 r. uczestniczył we Lwowie w V Zjeździe Prawników i Ekonomistów Polskich, a w czerwcu 1914 r. w legendarnym dziś pierwszym Sejmie Adwokatury Polskiej, podczas którego wygłosił referat, w którym omówił podstawowe zasady etyki adwokata i zaproponował

² *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana* (WEPI) wydawana była w latach 1890–1914 w Warszawie przez Saturnina Sikorskiego. Wydano 55 tomów, do hasła *Patroklos*. Mogilnicki opracowywał hasła prawnicze, obok innych adwokatów warszawskich. W późniejszych latach pisał także m.in. do: *Encyklopedii Podręcznej Prawa Publicznego*. Szerzej: A. Redzik, *Periodyczne encyklopedie prawnicze*, „Palestra” 2011, nr 11–12, s. 209–218.

ujęcie ich w dziesięciu punktach, które przeszły do dziejów adwokatury jako „dekalog zasad etyki adwokackiej”³.

W ramach działalności społecznikowskiej wiele czasu poświęcał Towarzystwu Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych, zajmującemu się poprawą warunków opieki nad nieletnimi przestępcami. Te zainteresowania zaowocowały głośną i jedną z najważniejszych w dorobku Mogilnickiego książką *Dziecko i przestępstwo*, która do dziś stanowi kanon literatury przedmiotu.

W sierpniu 1916 r. brał udział w specjalnej komisji powołanej przez istniejącą od 1915 r. namiastkę samorządu adwokackiego o nazwie Delegacja Adwokatury Warszawskiej. Komisja owa opracowywała projekt statutu palestry polskiej. Projekt został ogłoszony w styczniu 1917 r.⁴, a formę prawną – po poprawkach wniesionych w Departamencie Sprawiedliwości Tymczasowej Rady Stanu – znalazł w dekreście Naczelnika Państwa z 24 grudnia 1918 r., z mocą obowiązującą z dniem 1 stycznia 1919 r.

W działalności publicystycznej oraz jako członek Komitetu Redakcyjnego GSW (od 1911 r. do września 1939 r.) dążył do połączenia wysiłków wszystkich korporacji prawniczych dla osiągnięcia najważniejszego celu, aby wymarzona przez jego pokolenie wolna, niepodległa Polska stała się państwem prawa.

Wybuch I wojny światowej zastał Aleksandra Mogilnickiego wraz z rodziną na wakacjach w Ustce. Jako poddany rosyjski został internowany w Berlinie. Po powrocie do Warszawy czynnie uczestniczył w adwokaturze i w przygotowaniach do powołania sądownictwa polskiego. Gdy tylko taka sytuacja powstała, zgłosił swój udział i już 1 listopada 1917 r. został mianowany sędzią Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Należał do organizatorów sądownictwa polskiego najpierw na terenie Kongresówki, a później w Polsce niepodległej. U progu niepodległości brał czynny udział w pracach wielu Komisji i Komitetów, takich jak: Komitet Zrzeszeń Prawniczych, Komitet Sądowy, Komisja Organizacji Sądownictwa, Komisja Konstytucyjna Tymcza-

³ Szerzej w: A. Redzik, T. Kotliński, *Historia Adwokatury*, wyd. 3, Warszawa 2014, s. 142–143; A. Redzik, *Orzecznictwo dyscyplinarne a kodyfikacja etyki adwokackiej* (w:) *Etyka zawodów prawniczych w praktyce. Wzajemne relacje i oczekiwania – Ethics of the legal professions. Mutual relationships and expectations*, red. G. Borkowski, Lublin 2012, s. 237–241.

⁴ Szerzej: A. Redzik, T. Kotliński, *Historia Adwokatury*, wyd. 3, s. 168–169.

sowej Rady Stanu, Komisja Prawa Karnego przy Departamencie Sprawiedliwości TRS i inne.

W styczniu 1920 r. Aleksander Mogilnicki został mianowany Sędzią Sądu Najwyższego. W czasie wojny polsko-bolszewickiej zgłosił się ochotniczo do wojska i pełnił służbę wojskową od sierpnia do października 1920 r.

Po śmierci pierwszego prezesa Sądu Najwyższego Franciszka Nowodworskiego z dniem 25 października 1924 r. Aleksander Mogilnicki został prezesem Sądu Najwyższego, kierującym pracami Izby Karnej SN. Ogłoszenie w 1928 r. pracy pt. *Niezawisłość sędziów w nowym ustroju sądowym* wywołało niezadowolenie ówczesnych władz i stało się przyczyną zwolnienia go z zajmowanego stanowiska i przeniesienie wiosną 1929 r. w stan spoczynku. Powrócił wówczas do wykonywania zawodu adwokata, co umożliwiło mu wypowiadanie zdecydowanych opinii na temat niezawisłości sędziów, narażonej na poważne zagrożenie. Znalazło to szczególny wyraz w artykułach poświęconych granicom wykładni prawa (GSW 1930) oraz różnicy między sędzią a urzędnikiem (GSW 1931). Zdaniem Aleksandra Mogilnickiego: „Sędzia w chwili wykonywania swych czynności sędziowskich powinien być obcy wszelkim wpływom zewnętrznym. Tylko ustawa, sumienie i okoliczności sprawy mogą stanowić podstawę do wydania wyroku. Żaden zwierzchnik, czy to minister, czy prezes, czy sędzia wyższego sądu nie ma prawa nakazywać, ani nawet zlecać sędziemu, żeby tak czy inaczej w sprawie orzekał. Bezstronnie wymierzać sprawiedliwość może tylko sędzia na prawdę niezależny”. Głosząc tego rodzaju idee, konsekwentnie zgodził się na wystąpienie w charakterze świadka obrony w najśłynniejszym procesie politycznym dwudziestolecia międzywojennego, tzw. procesie brzeskim. Razem z byłym prezesem Sądu Najwyższego adwokatem Władysławem Seydą mówili o systematycznym likwidowaniu niezawisłości sądów, czego dowodem był dekret w sprawie usuwalności sędziów, obejmujący nawet sędziów Sądu Najwyższego⁵.

Bardzo istotną rolę Aleksander Mogilnicki odegrał przy unifikacji i kodyfikacji prawa polskiego, w szczególności prawa karnego. Postanowieniem Naczelnika Państwa z dnia 22 sierpnia 1919 r. został powołany

⁵ K. Pol, *Poczet Prawników Polskich XIX–XX w.*, 2 wyd., przejrzał i uzupełnił A. Redzik, Warszawa 2011, s. 891–902. Zob. też biogram Mogilnickiego pióra Wacława Szczygielskiego w *Polskim Słowniku Biograficznym*.

do pierwszego, 44-osobowego składu Komisji Kodyfikacyjnej RP, w której pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji: był pierwszym sekretarzem generalnym prezydium, członkiem Wydziału Karnego i wiceprezesem Sekcji Postępowania Karnego (od 1923). Był współautorem i głównym referentem projektów: ustawy o sądach dla nieletnich, kodeksu postępowania karnego, koreferentem ustawy o sądach powszechnych. Współpracował z profesorami Juliuszem Makarewiczem i Wacławem Makowskim przy projekcie kodeksu karnego z 1932 r. Dla popularyzacji i zrozumienia przygotowywanego, a następnie obowiązującego prawa miały służyć zarówno opracowane komentarze – do kodeksu postępowania karnego z wzorami pism procesowych, do kodeksu karnego i prawa o wykroczeniach (wraz z Stefanem Glaserem) – jak i przede wszystkim wykonana przez niego praca na łamach „Gazety Sądowej Warszawskiej”. Tu bowiem sukcesywnie omawiał i przybliżał szerszej opinii publicznej proponowane, a następnie przyjęte założenia i podstawowe instytucje z zakresu prawa procesowego i prawa karnego materialnego. Podobne znaczenie miały prowadzone przez niego w wielu uczelniach wykłady, w których przedstawiał bieżące wyniki prac projektowych Komisji Kodyfikacyjnej RP, a także obszernie informacje z orzecznictwa sądów. Wszystko to razem przyczyniało się do tworzenia prawa na poziomie odpowiadającym najlepszym kodyfikacjom europejskim. W tym kontekście przypomnieć wypada, że Aleksander Mogilnicki w swojej długoletniej działalności napisał ponad 30 książkowych monografii i 125 obszerniejszych rozpraw, publikowanych w językach francuskim, angielskim, belgijskim, serbskim, chorwackim i rumuńskim, nie licząc publicystyki.

Aleksander Mogilnicki w miarę możliwości i potrzeb działał na rzecz samorządu adwokackiego. W 1937 r. uczestniczył w pracach nad projektem zmian w ustawie prawo o ustroju adwokatury. Pisał stosunkowo ważne teksty poświęcone historii, etyce i zasadom wykonywania zawodu. Zawód adwokata traktował jako służbę ludziom, jako służbę prawu.

Obszerniej wypowiedział się na ten temat w napisanej z pasją pracy pt. *Obrońca kryminalny a opinia publiczna* z 1901 r. Swoją praktykę prawniczą rozpoczął w adwokaturze. Odchodził od niej (jak się później okazywało czasowo) jedynie do nauki, do zawodu sędziowskiego i prac kodyfikacyjnych. Powracał zawsze, kiedy było mu źle. Tak było w okresie międzywojennym, gdy usunięto go z sądownictwa, tak było w Polsce Ludowej, gdy przedwojenna przeszłość zamknęła mu drogę do kariery uniwersyteckiej i pracy w wymiarze sprawiedliwości.

W uznaniu jego zasług w czasach II Rzeczypospolitej Aleksander Mogilnicki otrzymał wiele odznaczeń, w tym m.in. Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu *Polonia Restituta*, Krzyż Wielki jugosłowiańskiego Orderu św. Sawy i Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Gwiazdy Rumuńskiej.

II wojna światowa przerwała jego działalność prawniczą o charakterze państwowym. Nadal wykonywał natomiast zawód adwokata w granicach ustalonych przez okupanta. W lipcu 1940 r. wraz z grupą 84 adwokatów warszawskich został aresztowany i osadzony na Pawiaku. Po kilku tygodniach z uwagi na stan zdrowia został zwolniony. Za formalną podstawę posłużyło dawne, jeszcze z 1915 r. zaświadczenie lekarskie wydane przez lekarza niemieckiego w Berlinie. Okazało się, że dokument wystawiony przez lekarza niemieckiego jest respektowany przez bezwzględne i okrutne władze okupacyjne nawet po dwudziestu pięciu latach od jego wystawienia, zgodnie z wyznawaną przez nich zasadą „porządek musi być”. Prawie wszyscy pozostali adwokaci, wówczas razem z Mogilnickim aresztowani, zostali wywiezieni do KL Auschwitz i wielu z nich już nie wróciło, o czym pisze we wspomnieniach z obozu adw. Ignacy Radlicki⁶.

Przez całą okupację przebywał w Warszawie. W czasie Powstania Warszawskiego, mimo podeszłego wieku, zgłosił się do służby: pełnił straż nocną, pomagał przy wznoszeniu barykad i gaszeniu pożarów. Po Powstaniu przejściowo przebywał w obozie w Pruszkowie, skąd wywieziono go wraz z żoną do Działoszyc. Następnie przez kilka miesięcy mieszkał w Zalesiu Górnym k. Warszawy. W październiku 1945 r. wyjechał do Łodzi. Otworzył tam kancelarię adwokacką, a od 1946 r. na Wydziale Prawa utworzonego właśnie Uniwersytetu Łódzkiego podjął wykłady z prawa karnego i procedury karnej oraz zajęcia z wojskowego postępowania karnego. Ten ostatni przedmiot wykładał także w łódzkiej Wyższej Szkole Nauk Administracyjnych. Te zajęcia przyczyniły się do opracowania komentarza do kodeksu wojskowego postępowania.

Aleksander Mogilnicki w 1952 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł 1 września 1956 r. w Łodzi, w wieku 81 lat⁷.

⁶ Zob. I. Radlicki, *Kapo odpowiedział – Auschwitz*, oprac. M. Gałęzowski, Warszawa 2008.

⁷ K. Pol, *Poczet Prawników Polskich XIX–XX w.*; A. Redzik, *Aleksander Mogilnicki*, biogram przygotowany do „Słownika Biograficznego Adwokatów Polskich”, t. III.

Od 1949 r. Aleksander Mogilnicki począł spisywać swoje wspomnienia (określane czasami jako pamiętniki), które w symbolicznym nakładzie wydała w 2008 r. rodzina.

Czym różni się pojęcie „pamiętnik” od pojęcia „wspomnienia”? Według językoznawców „pamiętnik” to utwór literacki zawierający opisy wydarzeń oparte na bezpośredniej obserwacji autora, jego wspomnieniach i przeżyciach. „Wspomnienia” zaś to obraz przeszłości wywołany w pamięci; pamięć o kimś, o czymś co było. Może również przybrać formę dzieła literackiego, artykułu, notatki dotyczących zdarzeń minionych, w których autor sam uczestniczył lub które znał⁸. Wydaje się, że pojęcie „pamiętnik” jest bardziej zbliżone do pojęcia „kronika”, które wymaga większej systematyczności i chronologiczności czynionych zapisów. Aleksander Mogilnicki przyznaje, że wielokrotnie był namawiany do pisania pamiętnika i że nie będąc jeszcze do tego przekonany, na wszelki wypadek, począł zbierać odpowiednie materiały i sporządzać notatki, w których opisywał poszczególne epizody zasługujące na utrwalenie. Niestety, niemal wszystkie te materiały uległy zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego. Przystępując w 1949 r. do odtworzenia przeszłości, opierał się przede wszystkim na swojej pamięci. Zapewnia, że fakty, które przytacza, są zawsze sprawdzone, a tam gdzie nie udało się tego uczynić, odwołuje się do relacji osób wiarygodnych i źródło takie zawsze przytacza⁹.

Aleksandrowi Mogilnickiemu przyszło żyć, działać i tworzyć w trzech epokach naszych dziejów: zaborach, w odrodzonej II Rzeczypospolitej, w Polsce Ludowej oraz w trzech wojnach (dwóch światowych i wojnie polsko-bolszewickiej). Miał zatem nadzwyczaj szerokie pole do czynienia wnikliwych obserwacji i wyciągania właściwych wniosków, tym bardziej że był prawnikiem wszechstronnie wykształconym. Mógł współpracować z wybitnymi prawnikami, a wśród nich z wybitnymi polskimi adwokatami. W omawianych *Wspomnieniach* pojawiają się nazwiska przeszło 500 osób, które odegrały niepowседневną rolę w życiu naszego narodu i państwa. Takie nazwiska, jak: Stanisław Szrednicki, Ksawery Fierich, Franciszek, Leon i Jan Nowodworscy, Fryderyk Zoll, Edmund Krzymuski, Maurycy Allerhand, Stanisław Wróblewski,

⁸ *Słownik języka polskiego*, pod red. prof. M. Szymczaka, PWN, 1979 r., t. II, s. 589 oraz t. III, s. 766.

⁹ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 3.

Juliusz Makarewicz, Zygmunt Seyda, Wacław Makowski, Bolesław Pohorecki, Stanisław Bukowiecki, Jan Jakub Litaurek, Henryk Ettlinger, Henryk Konic, Ignacy Koschembahr Łyskowski, Karol Lutostański, Walenty Miklaszewski, Zygmunt Rymowicz, Stanisław Car, Emil Stanisław Rappaport, Eugeniusz Śmiarowski, Tadeusz Tomaszewski, Bronisław Sobolewski, Jan Morawski, Leon Supiński, Stanisław Śliwiński – wzbudzały i dalej wzbudzają szacunek i uznanie.

Najpierw brali oni udział w walce o polskość i niepodległość Polski, a po roku 1918 w budowie nowoczesnego państwa i prawa. Zajmowali wysokie stanowiska państwowe i pełnili odpowiedzialne funkcje. Byli marszałkami sejmu i senatu, ministrami sprawiedliwości, prezesami i sędziami Sądu Najwyższego oraz Najwyższego Trybunału Administracyjnego, znanymi, cenionymi uczonymi, członkami Komisji Kodyfikacyjnej RP oraz wielu innych ważnych instytucji i organizacji krajowych i międzynarodowych. Na różnych etapach swojego życia w zdecydowanej większości byli również adwokatami, odważnymi obrońcami, w szczególności w procesach politycznych, niezależnie od reprezentowanej przez siebie orientacji politycznej. Brali także udział w walce zbrojnej, kiedy tylko zachodziła tego rodzaju potrzeba.

Oczywiście pomiędzy nimi występowały także zasadnicze różnice w reprezentowanych poglądach i podejmowanych działaniach, na temat charakteru państwa i tworzonego prawa z powodów politycznych czy ideologicznych. Prowadziło to często do ostrych polemik i scysji, a nawet decyzji, które miały istotny wpływ na życie i pozycje tych osób oraz grup społecznych wyznających takie same lub podobne poglądy. Aleksander Mogilnicki nigdy nie ukrywał swojego negatywnego stosunku do Marszałka Józefa Piłsudskiego, szczególnie po zamachu majowym w 1926 r. i tzw. obozu sanacyjnego¹⁰. Był zdecydowanym przeciwnikiem wszelkiego totalizmu państwowego. Uważał, że jedną z dotkliwszych bolączek odrodzonej Polski był brak poczucia prawa. Po przeszło stuletniej walce z obcym rządem i jego przepisami Polacy nie potrafili nagle uznać, że własne prawo należy szanować i własny rząd, wybrany w sposób demokratyczny, wspierać¹¹. Aleksander Mogilnicki wyjątkowo krytycznie oceniał zachowanie niektórych ministrów sprawiedliwości, a wśród nich Stanisława Bukowieckiego, Czesława

¹⁰ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 153, 156 i in.

¹¹ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 110–111.

Michałowskiego i Stanisława Cara. Ten ostatni, zdaniem Mogilnickiego, lepiej niż inni potrafił usprawiedliwiać wszelkie nadużycia rządu i tak interpretować każdą ustawę, jak było mu wygodnie. Mówiono, że jest to „carska interpretacja” w rozumieniu nieuczciwej wykładni prawa, oraz o tzw. „figielkach” przy uchwalaniu Konstytucji Kwietniowej.

Nawet jeśli nie podziela się poglądów Aleksandra Mogilnickiego, warto się z nimi zapoznać, tym bardziej że są one szczegółowo przez niego uzasadniane z odwołaniem się do konkretnych faktów i wskazanych dowodów. Prawdą jest, że z chwilą wprowadzenia w życie z dniem 1 stycznia 1929 r. nowego prawa o ustroju sądów Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek ministra sprawiedliwości Stanisława Cara przeniósł w stan spoczynku 600 sędziów, w tym prezesów izb Sądu Najwyższego. Na przypomnienie zasługuje (opisany przez Mogilnickiego) mało znany fakt, że przeniesiony w ten sposób sędzia Sądu Najwyższego Ignacy Kondratowicz, już jako adwokat złożył do władz adwokackich wnioski o wyłączenie mu postępowania dyscyplinarnego dla wyjaśnienia powodów podjętej w stosunku do niego decyzji. Przesłuchany w tym postępowaniu Stanisław Car przyznał, że jego wystąpienie do Prezydenta oparte było na podstawie doniesienia, którego prawdziwości nie sprawdził, a względem Prezesów Sądu Najwyższego Seydy i Mogilnickiego z przyczyn wyłącznie politycznych. Inny przykład: kiedy Sejm odmówił zatwierdzenia dekretów prasowych, co minister sprawiedliwości winien niezwłocznie ogłosić w „Dzienniku Ustaw”, Stanisław Car poradził sobie z tym problemem w ten sposób, że rząd po prostu nie wypełnił tego obowiązku. A więc nadal obowiązywało prawo, które z mocy Konstytucji formalnie przestało istnieć. W trakcie rozpoznawania tej sprawy przez Sąd Najwyższy minister Stanisław Car namawiał referenta do usunięcia z uzasadnienia najważniejszego stwierdzenia tego orzeczenia. Takich zdarzeń świadczących o łamaniu prawa Autor przytacza znacznie więcej¹².

Wspomnienia Aleksandra Mogilnickiego składają się jakby z dwóch części, pisanych w różnym czasie. Część pierwsza, nad którą pracę Autor rozpoczął w 1949 r., obejmuje lata z końca XIX wieku do wybuchu II wojny światowej i dzieli się na kilkanaście podrozdziałów, poświęconych konkretnym tematom. Ta część pisana jest ładnym, barwnym językiem literackim. Zawiera wiele szczegółów, często nieznanych lub znanych tylko częściowo. Przybliżają one wiele ważnych i ciekawych

¹² A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 159, 160 i in.

zdarzeń historycznych oraz błyskotliwy rozwój kariery Autora *Wspomnień*, jako adwokata, sędziego, uczonego, działacza społecznego i państwowego, a także cenionego publicysty. W opisywanych wydarzeniach Aleksander Mogilnicki występuje najczęściej w charakterze aktywnego ich uczestnika albo świadka. Niektóre z nich, mające charakter ciekawostek, stały się legendami. A oto jedna z nich: „W dniu 5 sierpnia 1915 r., gdy wódz armii niemieckiej ks. Leopold Bawarski wjeżdżał przez Aleje Jerozolimskie na czele kawalerii, która miała zająć Warszawę, pierwszym milicjantem, który rzucił mu się w oczy był Stanisław Patek (jeden z najwybitniejszych warszawskich adwokatów, potem minister spraw zagranicznych i ambasador w Moskwie, Tokio i Waszyngtonie). Księżę Leopold zatrzymał się przy nim i zwrócił się do niego, po niemiecku, z jakimś zapytaniem. Otrzymał odpowiedź w doskonałym języku francuskim. Po kilkuminutowej rozmowie ks. Leopold zapytał Patka, czy wszyscy członkowie milicji polskiej są na tak wysokim poziomie. «Mniej więcej (*a peu Pres*)» – odpowiedział Patek”¹³.

Aleksander Mogilnicki przykładął wielkie znaczenie do należytego przygotowania się do wykonywania zawodu adwokata i sędziego. Ukończył dwie aplikacje: sądową i adwokacką, brał udział w licznych rozprawach sądowych. Najpierw w charakterze protokolanta oraz pomocnika adwokata przysięgłego, a następnie adwokata przysięgłego, w końcu sędziego, sędziego apelacyjnego i sędziego Sądu Najwyższego.

Przygotowanie polegało z jednej strony na zdobywaniu wiedzy teoretyczno-naukowej, a z drugiej na nabywaniu praktyki i doświadczenia zawodowego. Z zainteresowaniem wysłuchiwał świetnych przemówień obrończych, obserwował realizowaną przez nich taktykę prowadzenia sprawy, a także narady sędziowskie, w których brał udział, nad decyzjami incydentalnymi i ostatecznym werdyktem. Ciekawe i pouczające bywały pojedynki słowne na salach sądowych między stronami i często między stronami a sądem. Jeden z takich pojedynków Aleksander Mogilnicki opisał w następujący sposób: „W pewnej sprawie przewodniczący składu orzekającego przerwał przemówienie adwokatowi Peplowskiemu z tego powodu, że przemawiając po rosyjsku i do sądu rosyjskiego nie stosuje się do zwyczajów w tym języku przyjętych. «U nas nie mówi się o ludziach po nazwisku, lecz należy wymieniać imię i imię ojca (otczestwo) np. Piotr Iwanowicz». Adw. Peplowski na

¹³ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 102.

razie na to nie zareagował, ale w dalszym ciągu przytaczając jakieś znane z Nowego Testamentu słowa Chrystusa powiedział: «Jezus Josiłowicz mówi, że...». Cała sala zatrzęsa się od śmiechu¹⁴.

Swoje obserwacje i przemyślenia wyniesione z sal sądowych i akademickich starał się przedstawić w artykułach najczęściej publikowanych w GSW. Znalazło to również swój wyraz we *Wspomnieniach*, w szczególności w części pierwszej.

Nie wiemy, kiedy Aleksander Mogilnicki zaprzestał pisania *Wspomnień*. Znamy natomiast tego przyczynę – ogólne zniechęcenie i apatia, „jakie objęły wszystkich prawie w dzisiejszych warunkach, zwłaszcza ludzi starszych, pamiętających inne czasy”. Ponownie przystąpił do pracy nad *Wspomnieniami* w roku 1955. Ta część, którą nazywam umownie drugą, obejmuje lata 1939–1955, które opisane zostały na dwudziestu dziewięciu stronach. Po podtrzymaniu negatywnej opinii o rządach sanacyjnych sprawowanych przez ludzi niedorosłych do zajmowanych stanowisk, prowadzących Polskę szybkimi krokami do upadku – nie opisuje prawie żadnych wydarzeń mających bardziej ogólną wymowę. Mają one znaczenie przede wszystkim dla Autora i jego najbliższych. Wprawdzie w *Posłowie* pani Barbara Izdebska wspomina o procesach politycznych w latach 1946–1952, w których miał występować jej Dziadek, ale na ich temat we *Wspomnieniach* nie ma żadnej wzmianki. Brak informacji na ten temat jest o tyle charakterystyczny, ponieważ w pierwszej części *Wspomnień* Autor wymienia i omawia wszystkie bardziej znaczące procesy sądowe, w których brał udział w charakterze obrońcy czy pełnomocnika, a nawet świadka.

Czy dobrze się zatem stanie, że *Wspomnienia* Aleksandra Mogilnickiego, adwokata i sędziego, wybitnego polskiego prawnika, po przeszło 50. latach od ich spisania, zostaną opublikowane i udostępnione szerzej opinii publicznej?

W istocie rzeczy *Wspomnienia* Mogilnickiego poświęcone są podstawowym wartościom i zasadom, na których powinno być zbudowane demokratyczne państwo i sprawiedliwe prawo. Aleksander Mogilnicki jest gorącym zwolennikiem państwa prawnego opartego na trójpodziale władzy. W tej triadzie szczególną rolę przypisuje władzy sądowniczej, która powinna sprawować kontrolę nie tylko nad zachowaniami obywateli, ale przede wszystkim nad działaniami władzy ustawodawczej

¹⁴ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 39.

i władzy wykonawczej. Opisuując poszczególne zdarzenia historyczne świadczące o odstępstwie lub próbie odstępstwa od tych wartości, krytykując poglądy uzasadniające takie działania, Mogilnicki w rzeczywistości przeciwstawiał się łamaniu prawa i czynił to w obronie szeroko pojmowanych praw i wolności obywatelskich, praw człowieka. Wiele z jego uwag okazało się trafnych i jakby ponadczasowych, ponieważ i w chwili obecnej nie straciły na swojej aktualności. Historia lubi się powtarzać, dostosowując swoje szaty do aktualnych potrzeb.

Aleksander Mogilnicki np. przestrzegał: „Działanie w interesie państwa nie powinno się zwyrodniać w działanie w interesie osób, chwilowo stojących u steru władzy. Działalność przedsięwzięta na pozór w interesie państwa a niezgodna z ustawą i sumieniem zawsze się mści i prowadzi do wprost odwrotnych wyników – do szkodenia interesowi państwa przez obniżenie poziomu moralnego i zachwianie poczucia prawa”.

Dla Aleksandra Mogilnickiego szczególnie ważną wartością jest niezawisłość sędziów i niezależność sądów. Dlaczego? Bo bezstronnie wymierzać sprawiedliwość może naprawdę tylko niezależny sędzia. „Niezależność istnieje nie wtedy, gdy ją ustawy na papierze zapewniają, ale wówczas dopiero, kiedy cały układ warunków w jakich sędzia pracuje, składa się na rękojmię prawdziwej niezależności, gdy sędzia niczego się od rządu nie spodziewa i niczego nie obawia, że może spokojnie, bez ryzyka osobistego, wyrokować tak, jak każą mu ustawa i sumienie”.

Największym wrogiem niezawisłości i tym samym praworządności jest taki stan rzeczy, w którym usuwalny sędzia boi się wydać niekorzystny czy niemiły dla rządu wyrok. Wówczas sądownictwo zamienia się w posłuszny władzom urząd administracyjny¹⁵. Dlatego też wszelkie ataki na sądownictwo, pozostałych dwóch władz, tj. wykonawczej lub ustawodawczej, niezależnie od tego, czy występują powody poważne czy pozorne, rozpoczynają się od gmerania w ustawie o ustroju sądów. Tak było w latach 1928–1929, 1932 r., tak jest i obecnie, gdy podejmowane są próby dokonania zmiany tej ustawy. Wszystkie nagle czystki w sądownictwie przeprowadzane z powodów politycznych osłabiają cały wymiar sprawiedliwości. Powodują obniżenie poziomu sądownictwa zarówno pod względem umiejętności, jak i w sensie moralnym. Zwiększają znakomicie liczbę niesłusznych wyroków oraz poczucie krzywdy osób nimi objętych. Odwołanie się do tych okoliczności przez

¹⁵ Por. K. Pol, *Poczet Prawników Polskich XIX–XX w.*

Autora *Wspomnień* miało stanowić przestrożę dla przyszłych pokoleń. Oby to była przestroga skuteczna.

Na tle przedstawionych ciekawych sytuacji procesowych Aleksander Mogilnicki, wybitny teoretyk i praktyk prawa, stawia niesłychanie ważne pytanie, jak ma się zachować sędzia, gdy dochodzi do oczywistej sprzeczności pomiędzy bezwzględnością ustawy a obiektywną sprawiedliwością orzeczenia? Odwołuje się do trzech przypadków.

W pierwszym zaskarżony wyrok był oczywiście niesłuszny, ale kasacja była tak nieumiejętnie napisana, że nie nadawała się do uwzględnienia. Działo się to pod rządami przepisów, według których Sąd Najwyższy nie miał prawa wdawać się w kwestię winy lub niewinności i badał tylko, czy wyrok nie zawiera takich błędów prawnych i to wskazanych w kasacji, które powodowałyby jego uchylenie. W drugim obrońca wniósł znakomicie napisaną kasację jeden dzień po terminie, a w trzecim – śledztwo zostało przedłużone o jeden dzień ponad termin przewidziany przez ustawę. Po długich dyskusjach składy orzekające opowiedziały się za sprawiedliwością orzeczenia i zaskarżone wyroki uległy uchyleniu. Zdaniem Mogilnickiego, z którym trudno się nie zgodzić, ślepe trzymanie się ustawy w takich przypadkach byłoby rażącą niesprawiedliwością. Niestety. Stanowisko takie nie było i nie jest powszechne akceptowane wśród stanu sędziowskiego¹⁶.

Inne problemy może nastroczyć ustawa karna przewidująca nadmiernie surowe kary szczególnie w dolnych progach zagrożenia lub bezwzględny tryb postępowania, np. tryb doraźny. Doświadczenie wykazało, że wówczas dochodzi do masowego uniewinniania lub zmiany trybu postępowania. W konsekwencji, prędzej czy później, prowadzi to do uchylenia takich ustaw jako niespełniających postawionych przed nimi zadań. Racjonalny ustawodawca winien unikać takich sytuacji. Takie negatywne finalnie rozwiązania potwierdzają zasadność głoszonego przed 250. laty przez włoskiego myśliciela C. Beccarię poglądu, że nadmierna surowość kar nie jest skutecznym środkiem do zwalczania przestępczości¹⁷.

Wiele miejsca we *Wspomnieniach* poświęcił Aleksander Mogilnicki adwokatom polskim i adwokaturze a także swojej pracy w tym zawodzie oraz działalności na rzecz i w ramach samorządu adwokackiego.

¹⁶ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 56, 130–132.

¹⁷ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 133.

Na skutek zamknięcia dla Polaków przez rządy rosyjskie dostępu do katedr uniwersyteckich i wyższych urzędów oraz prawie całkowitej rusyfikacji sądownictwa w Królestwie szeregi adwokackie zasilali najlepiej wykształceni i przygotowani prawnicy polscy. Nic więc dziwnego, że ówczesna adwokatura stała na bardzo wysokim poziomie intelektualnym i moralnym. Byli również patriotami, obrońcami polskości we wszelkich jej przejawach, najlepszymi przedstawicielami obywateli polskich, gdy prawa ich były naruszane. Jak wspomina Mogilnicki, adwokaci polscy nie schlebiali sądom i prokuratorom rosyjskim, śmiało i z wielką odwagą głosili prawdę. Czynili to jednocześnie z godnością i w sposób kulturalny.

W czasie wprowadzonego w 1905 r. stanu wojennego adwokaci polscy tworzyli koła obrony przed sądami wojskowymi i bronili z zapalem i oddaniem, oczywiście bezpłatnie oskarżonych, w stosunku do których najczęściej zapadały kary śmierci. Widzimy tu pewną analogię do zachowania adwokatów polskich w czasie wprowadzonego stanu wojennego w roku 1981 z tą istotną różnicą, że oskarżonym nie groziła kara śmierci.

Po zniesieniu stanu wojennego w grudniu 1905 r. sprawy polityczne rozpoznawane były przez specjalnie utworzone sądy z reguły przy drzwiach zamkniętych. Taki sąd składał się z czterech sędziów zawodowych i z trzech przedstawicieli stanów, którymi na terenie Królestwa Polskiego byli z reguły sędzia gminny i dwóch wójtów. Również przed takimi sądami bronili polscy adwokaci bezpłatnie, przeważnie wyznaczani z urzędu. Bronili odważnie z wielkim zapalem, zadając kłam – jak pisze Mogilnicki – głoszonym nieraz pomówieniom, że adwokaci bronią tak, jak im płacą i że przemawiają bardziej do publiczności niż do sądu¹⁸.

Gdy tylko pojawiły się pierwsze sygnały o możliwości odzyskania przez Polskę niepodległości, adwokaci przystąpili do przygotowania projektów odbudowy państwa polskiego, w tym w szczególności sądownictwa i prawa. Przynajmniej dwukrotnie adwokaci polscy w decydujący sposób przyczynili się do odbudowy polskiego sądownictwa i to w sytuacji kiedy jeszcze formalnie Polska nie odzyskała pełnej niepodległości. Pierwszy raz stało się to w 1915 r., kiedy to zaczęły samorzutnie funkcjonować, od dawna starannie przygotowane przez adwokatów, sądy obywatelskie, złożone wyłącznie z adwokatów. Drugi raz z dniem

¹⁸ A. Mogilnicki, *Wspomnienia*, 2008, s. 80–81.

1 września 1917 r., tj. z dniem oficjalnego otwarcia sądów królewsko-polskich, z językiem polskim jako językiem urzędowym. I tym razem na stanowiska sędziów w zdecydowanej większości powołani zostali adwokaci polscy. Obejmując stanowiska sędziowskie, adwokaci rezygnowali z uzyskiwanych dotychczas intratnych dochodów. Świadczyło to nie tylko o ich patriotyzmie, ale również i ich chęci służenia dobru wspólnemu jako wartości nadrzędnej. Wszystkie te okoliczności znalazły właściwe odbicie we *Wspomnieniach* spisanych przez ich uczestnika i świadka.

Ciekawe są spostrzeżenia Mogilnickiego na temat bezpośredniego związku pomiędzy niezawisłością sędziego i jego wysokim poziomem przygotowania zawodowego a takim lub podobnym poziomem adwokata świadczącego pomoc prawną w postępowaniach sądowych. Wysoki poziom zawodowy i moralny sędziego, stanowiący równie ważny element jego niezawisłości, powinien korzystnie i pobudzająco wpływać na przygotowanie zawodowe adwokata i jego postawę moralną. Trafność tej obserwacji powinna być poszerzona o konstatację, że wysoki poziom adwokata powinien mieć także dodatni wpływ na poziom i zachowanie sędziego. Można tu chyba zasadnie mówić o zjawisku naczyń połączonych. Autor *Wspomnień* bardzo wysoko ocenia poziom zawodowy sędziów i adwokatów, z tym że jego zdaniem począł on ulegać pewnemu obniżeniu po zamachu majowym 1926 r.

Wartością trudną do przecenienia jest to, że *Wspomnienia*, przypominając poszczególne zdarzenia, pobudzają jednocześnie do myślenia i mogą stanowić swoiste ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami, które kiedyś występowały i które występują lub mogą występować współcześnie.

Na koniec Słowa wstępnego wypada gorąco podziękować pani Barbarze Izdebskiej i Jej mężowi panu Janowi Izdebskiemu za przechowanie i przygotowanie do druku tak cennych materiałów, spisanych przez jednego z najwybitniejszych prawników polskich XIX i XX stulecia – adwokata, sędziego i uczonego. Wyrażam jednocześnie pogląd, że *Wspomnienia* winny zostać poddane analizie naukowej przez historyka prawnika, co znacznie podniosłoby ich wartość dla każdego czytelnika, np. przez dodanie w przypisach objaśnień dotyczących pojawiających się w tekście setek nazwisk, skrótów, instytucji, wydarzeń.

adwokat Czesław Jaworski

PRZEDMOWA

Mój ojciec, Henryk Mogilnicki, przekazał mi przed laty wspomnienia swojego ojca, Aleksandra, z prośbą, by po 50 latach od ich napisania wydać je drukiem. Ze względu na zobowiązania wobec mojego ojca jak i własne przekonanie, że wspomnienia świadka ważnych wydarzeń w historii naszego Kraju powinny zostać upowszechnione, przygotowałam te wspomnienia do druku. Na pewno staną się one dla kolejnych pokoleń wartościowym zapisem postaw i dokonań mojego dziadka. W moim pokoleniu działalność Aleksandra Mogilnickiego była częścią ustnie przekazywanej edukacji. Nie wątpię, że również historycy i prawnicy będą mogli, dzięki temu wydawnictwu, zajrzeć za kulisy niekiedy ważnych wydarzeń. Prace nad kodyfikacją prawa w odrodzonej Polsce po latach rozbiorów, jak i zmagania polityczne w II Rzeczypospolitej są znane, ale nawet subiektywne spojrzenie wybitnego prawnika na wiele wydarzeń, które nie zawsze odbyły się w świetle reflektorów, może stanowić ciekawą lekturę.

Słowa podziękowania należą się mojemu mężowi, Janowi Izdebskiemu, który pracując naukowo w dziedzinie odległej od prawa i polityki, po przeczytaniu maszynopisu, zdecydował się poświęcić wiele wieczorów na stworzenie elektronicznego zapisu wspomnień. Zadanie to nie było łatwe. Tekst był zapisany na papierze, który wykazywał pierwsze oznaki rozpadu, czcionka niezbyt wyraźna i często obciążona technicznymi defektami, fragmenty tekstu zapisane na odwrotnej stronie jako uzupełnienie itp. Zapis elektroniczny, będący podstawą wydania *Wspomnień*, został dokonany tak wiernie, jak to było możliwe. Pominięcia są nieliczne i nie mające istotnego znaczenia. W przypadkach, gdy ta sama sprawa była omawiana w dwu różnych częściach

maszynopisu, przyjęto za zasadę, by nie pominąć żadnej informacji, a jednocześnie nie powtarzać kwestii, która w skróconej wersji była omawiana w innej części. W maszynopisie nazwy wszystkich wyższych uczelni (z wyjątkiem Uniwersytetu Jagiellońskiego) zapisane są małymi literami (np. uniwersytet warszawski). Wobec zmieniających się rzeczywistych nazw własnych tych uczelni, w omawianym okresie, pisownię tę zachowano. Spośród ponad 500 osób wymienionych przez Autora część wymieniona była jedynie z nazwiska; tam gdzie to było możliwe, imiona tych osób zostały wprowadzone do przygotowanego indeksu nazwisk. Tekst *Wspomnień* uzupełniono fotografiami ze zbiorów rodzinnych.

Barbara Izdebska

Podział skarbów

*Ja mam duszę dla Boga, co króluje w niebie,
Życie mam na usługi mojego narodu,
Serce mi czarodziejka zabrała za młodu,
Honor tylko zachowam na zawsze dla siebie.*

Z książeczki, która ukazała się nakładem wydawnictwa Rychliński i Wagner w Łodzi w roku 1903 pod tytułem *Z jasnych dni, poezje Aleksandra Mogilnickiego*.

OD AUTORA

Kiedy opowiadałem różnym ludziom fragmenty moich przeżyć, słuchano na ogół z nieudanym zainteresowaniem i wielokrotnie mnie namawiano, żebym pisał pamiętniki. Nie będąc jeszcze zdecydowany, czy się kiedykolwiek do tego zabiorę, zbierałem na wszelki wypadek odpowiednie materiały i notatki, opisywałem nawet poszczególne epizody, które wydawały mi się bardziej zasługującymi na utrwalenie. Wszystko to spaliło się wraz z całym naszym mieszkaniem w Warszawie w końcu roku 1944, kiedyśmy po kapitulacji powstania w dniu 5 października byli zmuszeni wraz z innymi mieszkańcami Warszawy do opuszczenia nagle naszego prawie niezniszczonego mieszkania, z którego po powrocie zastaliśmy tylko popioły. Nie zmarnowało się tamto o tyle, że to, co opisywałem wówczas dobrze ze wszystkimi szczegółami zapamiętałem i teraz lepiej będę mógł odtworzyć. Zabieram się obecnie w roku 1949 do odtworzenia mego życia już tylko prawie z pamięci. Zostało mi zaledwie parę druków, które się przechowały u mego siostrzeńca Zbigniewa Makarczyka. Dałem mu je na jakiś czas przed zniszczeniem naszego mieszkania, bodaj czy nawet nie przed ostatnią wojną, gdyż polecono mu opracowanie mojego życiorysu dla „Encyklopedii Nauk Politycznych”. Leżały u niego na Saskiej Kępie i jakoś ocalały, pomimo że i jego mieszkanie zostało opuszczone i częściowo „rozsabrowane”.

Pamięć jednakże często zawodzi, zwłaszcza kolejność zdarzeń często się płącze. Jeżeli mi się uda zdobyć jakie dawne czasopismo, czy inny druk, postaram się braki pamięci uzupełnić. Obecnie mieszkam na peryferiach Łodzi, daleko od bibliotek, do których rzadko tylko mogę zaglądać i które zresztą są bardzo niekompletne. Muszę się więc posługiwać przeważnie pamięcią. Rozumie się samo przez się, że tam, gdzie

cytuję rozmowy w cudzysłowie, przytaczam je również tylko z pamięci, już oddając z możliwą ścisłością tylko ich treść, nie zaś dosłowne brzmienie. Chociaż niektóre ważniejsze rozmowy tak dokładnie pamiętam, jakby się toczyły wczoraj.

Fakty, które przytaczam, są zawsze ściśle sprawdzone. Piszę to, co sam widziałem lub słyszałem, a tam gdzie sam bezpośrednio danego faktu nie sprawdziłem, opieram się na wiadomościach od osób wiarygodnych i źródło przytaczam. W niektórych tylko przypadkach opieram się na wieści publicznej, pisząc wtedy: „mówiono mi” lub „opowiadało, że”. Nawet w tej postaci podaję tylko wiadomości, które zrobiły na mnie wrażenie wiarygodnych. Nieścisłości, jeżeli się wkradły, mogą dotyczyć tylko okoliczności nieistotnych.

Niektóre z opisanych niżej faktów rzucają złe światło na osoby jeszcze żyjące lub niedawno zmarłe. Trudno było je pomijać, gdyż obraz byłby jednostronny. Przytaczając tego rodzaju fakty, starałem się zachować możliwie jak największą obiektywność i ciemnych barw nie przejawiać, raczej nie dociągać.

Ze względu na te ujemne oceny niektórych postaci, pamiętniki niebiesze nie nadają się do druku ani nawet do pokazywania osobom obcym, ani dziś, ani w najbliższym czasie. Ale w dalszej przyszłości, gdy wspomnienia ostygną i czas pokryje je patyna, byłoby może pożądane, żeby je wydrukowano, gdyż może przyczyniłyby się do wyświetlenia niektórych zdarzeń oraz do charakterystyki osób i epoki. Na razie piszę dla siebie, bo mam sporo wolnego czasu i chciałbym go w jakiś pożyteczny sposób zużytkować. Prawo, nad którym przez całe życie praktycznie i naukowo pracowałem, stało się obecnie takie płynne, że trudno mi zabrać się do pracy naukowej w zakresie tego, co dzisiaj ciągle ulega zmianom. A przy tym nie o wszystkim można pisać. Zresztą, gdyby te pamiętniki nie osiągnęły tego celu, w jakim je piszę, w każdym razie wypełniają mi i urozmaicają monotonne dzisiejsze życie.

A.M.

MOI RODZICE

Ujrzałem światło dzienne w Warszawie 16 kwietnia 1875 roku, jako syn skromnego nauczyciela, Konstantego Mogilnickiego, który utracił z powodu udziału w powstaniu 1863/64 urzędowe prawo do matury i dyplomu i będąc zmuszony opuścić kraj, tułał się jakiś czas tu i ówdzie, aż wreszcie, korzystając z upływu czasu i amnestii, powrócił do Polski i osiadł w Warszawie, zarabiając na razie na życie dawaniem lekcji prywatnych i utrzymywaniem stancji dla uczniów, którą właściwie prowadziła matka moja, Henryka z Żarnowskich. Później ojciec znalazł pracę w kancelarii dość wziętego dwukata Konstantego Wygonowskiego i tam powziął myśl kształcenia się w zawodzie prawniczym.

Należał do tej grupy młodzieży, która na wezwanie ojczyzny, zrywającej się do walki z najeźdźcą, pośpieszyła do szeregów powstańczych, nie obliczając sił własnych ani sił wroga, kierując się mickiewiczowską zasadą, że



**Matka Aleksandra Mogilnickiego
– Henryka z Żarnowskich Mogilnicka**

*Gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro publiczną szalą,
Jedność większa od dwóch.*



Ojciec Aleksandra Mogilnickiego
– Konstanty Mogilnicki

Urodzony w roku 1845 na wsi w Lubelskiem (nazwy nie pamiętam), dokąd matka jego [Genowefa z d. Tur] czasowo do rodziny zjechała, wychował się w Bielsku Podlaskim, a do gimnazjum uczęszczał w Białymstoku. Do ostatniej niemal chwili wśród najcenniejszych pamiątek przechowywałem dwa jego listy pochwalne, wydane przez to gimnazjum.

Utraciwszy ojca [Konstantego seniora] w 8 roku życia, od wczesnej młodości szedł prawie o własnych siłach, pomagając w miarę możliwości matce, która pozostawiona bez środków do życia, musiała własną ciężką pracą utrzymywać siebie i pięcioro dzieci, z których ojciec mój był najstarszy. Dwóch bra-

ci ojca umarło we wczesnej młodości, zostały dwie siostry [Leontyna i Stefania]. Kiedy rozbrzmiało hasło powstania, ojciec mój był w ostatniej klasie gimnazjum. Bez dłuższego namysłu rzucił naukę i wstąpił do partii Narbutta, działającej w Grodzieńszczyźnie. Choć jeden z najmłodszych w partii, wyróżnił się szybko odwagą i inteligencją i wkrótce otrzymał nominację na oficera. Po rozbiciu partii w końcu lata 1864 nieogłędnie powrócił do Jelonki, majątku swojego stryjecznego brata Michała Mogilnickiego, niedaleko od Brześcia Litewskiego. Tam go po kilku miesiącach aresztowano. Przesiedział wraz z innymi 10 miesięcy w więzieniu w Grodnie, tylko nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności (o czym niżej) zawdzięczał, że uniknął cięższych konsekwencji. Spo-

dziewając się już od pewnego czasu aresztowania, zakopał wszystkie „kompromitujące” dokumenty w blaszanej puszcze w ogrodzie, ale powróciwszy po wielu latach, już ich nie mógł odnaleźć. Była tam między innymi nominacja na oficera oraz listy, pisane przez stryja mego ojca, również Mogilnickiego (imienia nie pamiętam), który, naraziwszy się władzom zaborczym w roku 1848 wyemigrował do Hiszpanii i tam został do końca życia. Znacznie już później nadesłał swój portrecik, a raczej sporą miniaturę, w jakimś białym mundurze z orderami. Na portrecie była również mniej więcej dwunastoletnia córeczka. Ojciec, opowiadając to wszystko, mówił, że wie o tym stryju tylko tyle, że mieszkał w Barcelonie, ożenił się i miał trzy (jeżeli się nie mylę) córki. Ponieważ córki te zapewne powychodziły za mąż, a więc zmieniły nazwisko, odnalezienie ich po wielu latach było rzeczą nieledwie beznadziejną. Nie próbowaliśmy ich nawet szukać, a i korespondencja ustała, zdaje się, przed moim urodzeniem. Portrecik ten był ostatnio w posiadaniu mojej ciotecznej siostry inżynierowej Janiny Janiszewskiej, która wraz z mężem mieszkała aż do roku 1939 w Knurowie na Górnym Śląsku. W chwili nadejścia Niemców zmuszeni byli uciekać tak szybko, że on nawet nie zdążył zabrać z domu zegarka. Uciekali piechotą i na szosie ona została zabita przez lotnika z karabinu maszynowego. Mieszkanie ich zostało zrabowane, czy portrecik ocalał, nie wiem, przypuszczam, że nie.

Zbieg okoliczności, który mego ojca uratował, był rzeczywiście nadzwyczajny. Partia została rozbita w końcu lata i tylko z tego okresu, tj. lipca–sierpnia, policja rosyjska miała pewne dane, prawdopodobnie na podstawie czyichś doniesień, o udziale i działalności poszczególnych członków partii, już wtedy rozproszonych i ukrywających się bądź pojedynczo, bądź w małych grupkach. A dodać należy, że wielu powstańców nosiło czerwone koszule, które rzucały się w oczy, a których nie było gdzie, ani u kogo, zamienić na inne, kiedy już wypadło się ukrywać. Ojciec mój przybył do Jelonki w sierpniu. Ale tak się złożyło, że początek tego roku był w tamtych okolicach bardzo mokry i wobec ciągłych deszczów sianokosy nie mogły się odbyć na wiosnę. Zaczęto kosić łąki dopiero po żniwach. Śledztwo toczyło się wolno, świadków przesłuchiwano dopiero po upływie półtora roku. Chłopi miejscowi, którzy, jak zwykle, mierzyli czas podług robót rolnych, rozpytywani przez władze śledcze, zeznawali jednogłośnie, że „panicz” przyjechał przed rozpoczęciem sianokosów i od tego czasu aż do aresztowania nie opuszczał

Jelonki. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy ustalić, że rozpoczęcie sianokosów nie odbyło się, jak zwykle, na wiosnę. „Przyjechał przed rozpoczęciem sianokosów i odtąd nie wyjeżdżał, a więc nie mógł być w partii w lipcu i sierpniu” – wywnioskowały władze śledcze i uznały udział mego ojca w partii za nie udowodniony. Kiedy mi to ojciec opowiadał, pomyślałem sobie, że zawdzięczam swoje istnienie temu, że na przeszło dziesięć lat przed moim urodzeniem deszcz padał. Ile to zdarzeń jest wynikiem przyczyny, nie mającej z nimi na pozór nic wspólnego i której nikt się nawet nie domyśla!

Uznano winę mego ojca za nie udowodnioną i wypuszczono go z więzienia, ale jako podejrzanemu zabroniono przebywać na terytorium dawnej Polski. Pojechał do Kijowa i tam wstąpił na wydział matematyczny uniwersytetu jako „wolny słuchacz”. Ale i tam wkrótce zaczęło być „ciasno”, udał się więc do Petersburga, licząc na to, że im większe miasto, tym łatwiej uniknąć zbyt bliskiego kontaktu z władzami. Utrzymywał się z lekcji prywatnych, aż póki nie udało się wrócić do kraju.

Studiując prawo pod kierunkiem życzliwego dlań adwokata Wygonowskiego, ojciec mój w roku, zdaje się, 1879 zdał odpowiednie egzaminy sądowe i uzyskał prawa tzw. „obrońcy sądowego”. Po śmierci adwokata Wygonowskiego objął jego kancelarię i wkrótce zdobył sobie dość dużą praktykę zwłaszcza wśród ziemiaństwa kresowego. Jedna z obron ojca zwróciła uwagę ówczesnego prezesa Izby Sądowej (sądu apelacyjnego), który sam, bez żadnych starań ze strony ojca, zaproponował mu stanowisko rejenta w Łodzi. Przyjął to chętnie, tym bardziej, że choć praktyka adwokacka szybko się rozwijała, i choć cieszył się dobrą opinią (o czym nieraz później słyszałem z ust ówczesnych adwokatów warszawskich), bolał zawsze nad tym, że nie mając dyplomu uniwersyteckiego, jest tylko adwokatem drugiej klasy. O ustroju adwokatury za czasów rosyjskich będzie mowa niżej.

Ojciec otrzymał nominację latem r. 1887 i osiedlił się na stałe w Łodzi. Zajął wkrótce w tym mieście wybitne stanowisko społeczne – należał do tzw. „notablów”. Był kierownikiem szeregu instytucji społecznych i dobroczynnych, zasilał pisma miejscowe artykułami z dziejin życia prawniczego i społecznego. W r. 1914, po zajęciu Łodzi przez Niemców, nie chciał zgodzić się na postanowione przez nich żądanie pisania aktów po niemiecku i opuścił Łódź, licząc że wróci do swojej kancelarii po wojnie. Nie wrócił jednak. Umarł w Warszawie w zaraniu

jutrzenki wolności 29 grudnia 1916 po kilkudniowej chorobie i choć nie doczekał się wolnej Polski, o którą walczył w młodości, widział już jednak w dali jej świt. I to go w znacznej mierze wynagrodziło za całe życie, spędzone w niewoli. Na jego trumnie złożono, między innymi, wieniec z biało-czerwonymi wstęgami i napisem: „Bojownikowi o wolność – legiony polskie”, a oddział legionów odprowadził do grobu trumnę b. oficera polskiego. Aczkolwiek kwestia, czy tworzenie przez Piłsudskiego legionów, walczących po stronie Niemców, było dla Polski korzystne, czy raczej szkodliwe, była już wtedy otwarta, to jednak wszyscy, nawet najzagorzalsi przeciwnicy Niemiec, patrzyli na tych polskich legionistów ze wzruszeniem jako pierwszy załążek niewidzianego od wielu lat wojska polskiego. Nie pytano przeważnie, dla kogo i o co walczą, widziano w nich polskich żołnierzy, za którymi musi przyjść Polska niepodległa. Wstęga ta, wraz szeregiem innych pamiątek po ojcu, jak np. dwie duże fotografie Sienkiewicza i Siemiradzkiego z własnoręcznymi dedykacjami, spaliła się w r. 1944.

Za trumną szła także spora garstka weteranów z r. 1863 w specjalnych mundurach granatowych z takimi rogatywkami.

I dziwnie się złożyło: ojciec mój umarł w chwili, gdy na horyzoncie ukazał się świetlany obraz wolnej Polski, a przedtem umarła matka moja w dniu 7 października 1905, gdy rozpoczynały się w Rosji tzw. lata wolnościowe i zaczynała świtać jutrzienka lepszych czasów dla Polski. Oboje opuścili tę ziemię o świcie (politycznym), nie doczekawszy wschodu słońca, ale też nie doznali późniejszych w tym zakresie zawodów. Czy mi się uda doczekać trzeciego świtu?

Niejednokrotnie prosiłem ojca, żeby spisał swoje pamiętniki z czasów powstania. Za czasów rozbiorowych nie chciał pisać, obawiając się zapewne represji, gdyby takie pamiętniki dostały się w niepowołane ręce, gdyż ani amnestii, ani przedawnieniu nie można było całkowicie dowierzać, a potem, po roku 1915 – nie zdążył. Nie lubił na ogół o tych swoich przeżyciach opowiadać, choć często wyciągaliśmy go na słówka. Przypuszczam, że obawiał się, żeby się to nie rozniosło, bo w owych czasach i to mogło być niebezpieczne. Z półsłówek więc tylko i z rzadko opowydanych fragmentów dowiedziałem się o tych przeżyciach ojca z czasów jego młodości, o których napisałem powyżej. Z kolegów ojca z czasów powstania poznałem, ale jeszcze we wczesnej młodości, dwóch tylko, którzy znacznie wcześniej od mego ojca umarli. Byli to Ignacy Józef Kuszell oraz znany fotograf i trochę malarz Antoni

Stypułkowski. I oni czasem jakieś słówko dorzucili i żadnej sprzeczności między ich opowiadaniem i słowami ojca nie zauważyłem. Coś nie coś opowiadała mi również b. właścicielka Jelonki ciocia Klementyna Mogilnicka, żona wspomnianego wyżej Michała, a córka synowca poety Juliana Ursyna Niemcewicza, która także, jak wiele ówczesnych kobiet polskich, aczkolwiek nie brała, jak ongi Emilia Plater, bezpośredniego udziału w akcji zbrojnej, to jednak nie mniej się narażała dla dobra sprawy, spiesząc powstańcom z pomocą. Wspominała m.in., że kiedyś wiozła swoim powozem do Warszawy Traugutta, skąd – nie pamiętam, prawdopodobnie z Brześcia Litewskiego lub jego okolic.

Matka moja, Henryka z Żarnowskich, choć pochodząca ze znacznego niegdyś rodu, była córką skromnego wówczas mieszczanina warszawskiego i wyszła za mąż bez posagu za nie mniej skromnego nauczyciela prywatnego, nie liczyła więc na lepsze warunki bytu niż te, w których się wychowywała.

Życie jednak ułożyło się pomyślniej. Ojciec mój został rejentem w Łodzi i po pierwszych latach niedostatku dorobił się trochę, zyskał, jak wspominałem, wybitne stanowisko społeczne, a w końcu kupił majątek ziemski Przatów w pobliżu Szadka, na granicy powiatów łaskiego i sieradzkiego. Spędzaliśmy tam lato w idealnych niemal warunkach. Matka moja cieszyła się tam z wszystkiego, co nie przeszkadzało jej zajmować się z zapałem pracą społeczną, zarówno na wsi w Kole Ziemianek, jak i w Łodzi, gdzie ją stale wybierano na przewodniczącą szeregu instytucji społecznych. Ale w głowie się jej nie przewróciło, pozostała zawsze dobrą i cichą, jak wtedy, kiedy była żoną nauczyciela prywatnego. Powiedziała kiedyś, mówiąc o swoim życiu – „Rzeczywistość przeszła moje najśmielsze marzenia”. Zaiste, niewiele osób mogło to o sobie powiedzieć.

Niestety, żyła zbyt krótko; umarła w r. 1905 na jakąś bliżej nieokreśloną chorobę wewnętrzną, jeszcze w pełni sił. Minęło już od tej chwili prawie pół wieku, a jeszcze mi się łązy kręć, gdy Ją wspominam.

PIERWSZE WSPOMNIENIA Z LAT DZIECINNYCH

Mieszkaliśmy w Warszawie przy ulicy Świętokrzyskiej 15 w małym domku, który wkrótce potem zniesiono, naprzeciwko ul. Włodzimierskiej, obecnie Czackiego, na pierwszym piętrze. Pokój sypialny moich rodziców był ciemny; zapewne okno musiało wychodzić na jedną z tych studzien, otoczonych murami i nie dających światła ani powietrza. A może okna wcale nie było. Lepsze, widne pokoje były przeznaczane na stancje dla uczniów. Byli wśród nich ludzie, którzy zajęli potem wybitne stanowiska, między innymi Ignacy Baliński, późniejszy prezes Rady Miejskiej m. Warszawy, sędzia Sądu Najwyższego, poeta i działacz polityczny ze stronnictwa narodowego.

W tym ciemnym pokoju sufit był oklejony białym papierem; tam się urodził w r. 1879 brat mój Tadeusz, później znany lekarz pediatra, autor wielu prac naukowych i długoletni dyrektor szpitala Anny Marii w Łodzi, największego w Polsce szpitala dla dzieci. Pod jego kierownictwem kształcił się szereg lekarzy; wspomniał mi kiedyś, że było ich jednorazowo w szpitalu 29, a on był 30. O działalności tego szpitala w 25. rocznicę jego założenia została wydana obszerna książka, opracowana z inicjatywy mego brata i przy jego przeważającym udziale.

Otóż w chwili urodzenia mego brata Tadeusza papier na suficie pokoju sypialnego częściowo się odkleił i niewielki jego kawałek zwisał z sufitu. Z dumą pokazywałem wszystkim znajomym to miejsce na suficie, twierdząc, że tamtędy wpadł do pokoju bocian, który przyniósł mego brata. Nikt tego wówczas nie kwestionował.

Drugie wspomnienie z tejże epoki – miałem wtedy około 4 lat. Jednym z uczniów, mieszkających na stacji u moich rodziców, był niejaki Suffczyński, daleki nasz krewny, chłopak jeszcze młody, ale olbrzymiego wzrostu (widywałem go i później, więc wzrost ten pamiętam), a ja byłem wyjątkowo, nawet na swój wiek, maleńki. Urosłem później trochę i choć jestem nieduży, ale nie wyróżniam się specjalnie niskim wzrostem. Jako dziecko byłem, o ile pamiętam i jak mi później mówiono, nieledwie liliputem. Otóż ten olbrzymi Suffczyński nadepnął mi kiedyś bardzo boleśnie na nogę, co wywołało mój płacz. A gdy mnie zapytano, co się stało, odpowiedziałem przez łzy: „Bo mi ten Suffczyński tak się płacze pod nogami i nadepnął mnie”. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wszyscy się śmieli z mojej biedy.

Trzecie wspomnienie z tych czasów – latem 1897. Była to niezwykła burza. Wracaliśmy do Warszawy z letniego pobytu na wsi, z tej samej Jelonki, o której była mowa wyżej, szerokim gościńcem, którego przebycie sześciomilowej (przeszło 40 km) odległości wymagało w normalnych warunkach co najmniej sześciu godzin. Pociąg z Brześcia Litewskiego odchodził wczesnym rankiem, wybraliśmy się więc z wieczora ogromną krytą landarą, zaprzęzoną w cztery konie. Jechała moja matka, niańka z moim bratem, liczącym wówczas kilka miesięcy (na tej podstawie mogę obecnie ustalić, w którym to było roku), między nimi na głównym siedzeniu ja i moja równolatka czteroletnia Mania Garbowska, która w 34 lata później została moją macochą. Na przednim siedzeniu dwie młode panny, a trzech chłopców jechało osobno bryczką. Ściemniło się wkrótce, a około północy, jak mi później mówiono, rozpętała się niezwykła burza z ulewnym deszczem. Gliniasty gościniec tak rozmiękł, że pomimo czterech koni posuwaliśmy się noga za nogą. W pewnym momencie konie, idąc pod wiatr, zawróciły i głowy ich znalazły się tuż przy oknie karety, której dach zaczął przeciekać. Staliśmy tak czas dłuższy, wokół były pioruny. Matka mówiła potem, że odtąd zaczęła je liczyć, naliczyła trzydzieści dwa. Panny, siedzące przed nami, poklekały i zaczęły się modlić, ale słowa płątały się im ze strachu. Jedna z nich modliła się: „Boże, odwróć od nas miłosierdzie swoje”. Czy te ostatnie słowa sam zauważyłem, czy mi to później opowiadano, trudno mi sobie obecnie uprzytomnić. Po upływie dłuższego czasu burza się uspokoiła, ale została taka ciemność, że woźnica, choć doskonale znający drogę, zjechał z gościńca i natknął się na jakiś płot. Wylądowaliśmy w chacie wiejskiej, gdzie spędziliśmy resztę nocy.

Pamiętam wszystkie szczegóły tej drogi, pomimo że byłem jeszcze taki mały; pamiętam np., że brata mego z poduszką położono za piecem. Ale ta burza musiała mnie przekonać, że pioruny nie są takie groźne, jak by się mogło wydawać; nigdy potem nie bałem się piorunów ani huku armat i bomb. Skończyło się tym, że spóźniliśmy się na pociąg, a następny odchodził dopiero wieczorem.

Lato spędzaliśmy kilkakrotnie, także i później, w majątkach krewnych na Litwie. Komunikacja z tymi majątkami była utrudniona, pociągów było niewiele, a od stacji kolejowej jechało się jeszcze kilka godzin po wiejskich drogach. To też zwykle, jadąc tam, na parę dni przed wyjazdem depeszwaliśmy o konie. Ale i tu czekały niespodzianki. Kiedyś przyjeżdżamy na stację, a koni nie ma. Z wielką trudnością udało się nam wynaleźć jakąś żydowską brykę, a w chwili, gdy odjeżdżaliśmy, podszedł do nas urzędnik kolejowy i zapytał, dokąd jedziemy. Dowiedziawszy się o celu naszej podróży, ucieszył się i powiedział: „A to dobrze, może państwo zabiorą depeszę, która tu już kilka dni czeka”. Była to nasza depesza o konie.

Pierwszą podróż „za granicę” odbyłem w r. 1882, mając 7 lat. Stan zdrowia mojej matki, a podobnie i mojego, gdyż byłem bardzo słabowity i często chorowałem – wymagał kuracji w Szczawnicy. Było to wtedy w b. Austrii, a więc formalnie za granicą. Jechaliśmy koleją do Krakowa, potem końmi z noclegiem w Rabce. W Szczawnicy było, jak później ktoś – czy nie Makuszyński? – napisał, 120 Żydów, a reszta Żydówki. Mieszkaliśmy w wysokim paropiętrowym domu drewnianym, żydowskim. Pamiętam, były tylko jedne wąskie schody drewniane, tak że w razie pożaru nikt z górnych pięter by się nie uratował. Ale pożaru nie było i kuracja w Szczawnicy zrobiła nam obojgu, matce mojej i mnie, doskonale. W tej podróży zetknąłem się po raz pierwszy z przestępstwem. Dostałem od rodziców maleńką niebieską portmonetkę z killkunastoma błyszczącymi srebrnymi pieniążkami austriackimi, a wkrótce potem poszliśmy zwiedzać obóz cygański i tę portmonetkę z całym ówczesnym moim majątkiem Cyganie mi od razu ukradli. Nie było to z ich strony przestępstwo szczególnie wielkie, ale na dziecku musiało zrobić wrażenie, skoro to dotychczas pamiętam.

W drodze powrotnej zwiedziliśmy kopalnię soli w Wieliczce, które akurat tego dnia z powodu jakiejś uroczystości były wyjątkowo oświetlone. Dostałem tam od rodziców mały krzyżyk, który w 50. rocznicę kazałem oprawić w srebro, gdyż krzyżyk się był złamał i częściowo

stopniał. Trzymał się ten krzyżyk aż do r. 1944, po czym w czasie tułaczki popowstaniowej i pobytu w paru wilgotnych mieszkaniach stopniał prawie do reszty. Została tylko szerniała oprawa z niewielką częstką soli i datami 1882–1932. W Wieliczce, ale już nie w kopalni, byłem w przeszło 40 lat później z wiceministrem sprawiedliwości Rymowiczem (o którym niżej). Korzystając z wolnego dnia w czasie posiedzeń Komisji Kodyfikacyjnej, odbył on wtedy inspekcję kilku sądów i więzień w okręgu krakowskim i zaproponował mi, żebym mu towarzyszył, na co chętnie się zgodziłem. Sposób zachowania się sędziów i funkcjonowania sądów małopolskich bardzo się różnił od naszego, co się od razu rzucało w oczy. Odbywało się wszystko po domowemu, mniej uroczyście niż u nas. Z tego drugiego pobytu w Wieliczce przywiozłem sobie małą płytkę soli krystalicznej, która leżała u mnie aż do r. 1944.

Jednym z silniejszych wrażeń z czasów mego dzieciństwa była tzw. „katastrofa świętokrzyska”. Musiałem mieć wtedy około 7–8 lat, było to w każdym razie jeszcze przed moim wstąpieniem do gimnazjum, a więc przed jesienią r. 1884. Mieszkaliśmy przy ul. Mazowieckiej i chodziliśmy w niedziele na msze do kościoła Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, idąc ulicą Berga, dziś Traugutta. Kościół Św. Krzyża stał, jak dziś jeszcze stoi, wśród domów mieszkalnych, ale miał i ma przed sobą na wysokości około pół piętra obszerny taras, na który wychodzą drzwi wejściowe do kościoła górnego (w podziemiach jest kościół dolny, w którym się zwykle odprawia nabożeństwa żałobne). Na taras można się dostać tylko po szerokich schodach kamiennych, idących z obu stron wzdłuż ulicy i obrzeżonych murem. Mają one z każdej strony około 20 stopni. Otóż pewnej niedzieli, kiedyśmy wychodzili z domu, matka moja wróciła się po zapomnianą chusteczkę. Ojciec mój, który nie lubił takiego wracania się z drogi, był nawet z tego trochę niezadowolony. Tymczasem, jak się okazało, dzięki temu uniknęliśmy poważnych obrażeń, a może i śmierci. W chwili, gdy już weszliśmy na Krakowskie Przedmieście i zbliżaliśmy się do schodów kościoła (dzieci naprzód jak zwykle), usłyszeliśmy na tarasie i schodach kościelnych straszne krzyki, a po chwili tłum, pędzący w naszą stronę, odepchnął nas w tył. Nie wiedząc jeszcze, co się stało, stanęliśmy trochę na uboczu i widzieliśmy tylko mnóstwo ludzi, tłoczących się z krzykiem i przewracających na schodach, a potem wielu wynoszonych, zduszonych czy zabitych. Jedną z pań, zapewne znajomą, prze-

niesiono, czy może przewieziono, nieprzytomną do naszego mieszkania i tam ją ocucono. Była tylko zduszona w tłumie. Pamiętam, jakby to było wczoraj, młodą jeszcze twarz, fioletową, nabrzmiałą i silnie przekrwawione oczy. Nie musiała mieć nic poważniej uszkodzonego, gdyż, o ile pamiętam, nie leżała u nas przez czas dłuższy.

Gdyby się matka moja, wychodząc z domu, nie wróciła, znaleźlibyśmy się akurat w najniebezpieczniejszym miejscu, na schodach, gdzie zbiegający w popłochu tłum przewracał na wznak idących pod górę i deptał po nich. Dowiedzieliśmy się później, że przyczyną paniki było zapalenie się czegoś przy ołtarzu, co zaraz ugaszono, ale tłum w obawie pożaru rzucił się ku drzwiom i spowodował katastrofę. Nas tylko ręka Opatrzności uratowała.

Od tej chwili (a jak przypuszczać należy, także i przedtem) nigdy nie narzekałem, kiedy się kobiety, wychodząc z domu, po coś wracały. W ogóle narzekanie na to, czemu nie można zaradzić, jest bezcelowe w myśl zasady, nie pamiętam przez kogo wygłoszonej:

*Narzekać po niewczasie jest to samo właśnie
Co patrzeć na kompasie, kiedy słońce zgaśnie.*

Zresztą, mówią także, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, a ja dodaję, że Pan Bóg jest mądrzejszy od nas i lepiej wie, jak być powinno.

Z późniejszych lat wczesnego dzieciństwa nie zapamiętałem już nic szczególnego. Mówiono mi tylko później, że jako dziecko byłem wielkim sensatem, że w cyrku czytałem gazetę, zamiast patrzeć na arenę i że na zapytanie, czym chcę być, odpowiedziałem: „profesorem uniwersytetu”.

CZASY SZKOLNE

GIMNAZJUM W WARSZAWIE

Nauka nie sprawiała mi trudności. Pierwszych lekcji udzielali mi rodzice, przy tym rzuciła mi się w oczy rzecz, wskazująca na dziwne tajniki dziedziczności: matka uczyła mnie pisać, a charakter pisma miałem zupełnie podobny do ojca. W pierwszych klasach gimnazjalnych miałem bardzo dobrego, sympatycznego korepetytora w osobie p. Jana Kłobukowskiego, z którym widywałem się nieraz także i znacznie później i zachowałem o nim i jego zdolnościach pedagogicznych bardzo dobre wrażenie. Poznałem potem całą jego rodzinę. Lato r. 1885 (pierwsze moje wakacje gimnazjalne) spędziliśmy w majątku jego matki. Mając 9 lat, zdałem z bardzo dobrym wynikiem do 1 klasy gimnazjum, pomijając klasę wstępną. Lekcje w szkołach średnich odbywały się wyłącznie w języku rosyjskim. Musiałem ten język nieźle opanować, a m.in. napisać na egzaminie trudne dyktando rosyjskie. Pisownia rosyjska była wtedy o wiele więcej skomplikowana niż obecna. Pierwsza klasa gimnazjalna odpowiadała mniej więcej dzisiejszemu piątemu oddziałowi szkoły powszechnej. Przyjmowano w zasadzie chłopców, mających 10 lat skończonych. Egzamin udał mi się pomyślnie, na 32 zdających przyjęto tylko czterech i ja znalazłem się w tej liczbie. Od pierwszej niemal chwili pobytu w szkole zetknąłem się z polityką.

Jednym z objawów psychozy, jaka ogarnęła ówczesne rządy rosyjskie (które zresztą we wszystkim naśladowały Prusaków), była zacięta walka ze wszystkim, co polskie. Tę walkę i jej wyniki barwnie i żywo opisał Żeromski w „Syzyfowych pracach”. W szkołach uczniowie nie mieli prawa rozmawiać ze sobą po polsku; za podsłuchany fragment

rozmowy w języku polskim wymierzano surowe kary. Na korytarzach gimnazjum wisiały tabliczki z napisem: „Mówić po polsku nie można”. Ale kto tam zwracał na to uwagę?

Kiedy po raz pierwszy przyszedłem do gimnazjum jako 9-letni młodzieniec, nie zwracałem jeszcze uwagi na te tabliczki i nie wiedziałem o zakazie mówienia po polsku, śmiało więc rozmawiałem na korytarzu szkolnym z nowymi kolegami, którzy zresztą z tego zakazu również niewiele sobie robili. Na moje nieszczęście usłyszał tę rozmowę przechodzący dyrektor gimnazjum, oczywiście Rosjanin, i zapytał mnie, czy nie wiem, że nie wolno mówić po polsku.

– Nie wiedziałem.

– Mieszkasz w Rosji, to mów po rosyjsku.

– Mieszkam w Polsce, a w Rosji nigdy nie byłem.

Łatwo sobie wyobrazić oburzenie rusyfikatora. Zrobiła się wielka awantura, posłano po mojego ojca i dopiero po wyjaśnieniu, że jestem pierwszy dzień w szkole, i zapewnieniu ze strony mojego ojca, że nie pozwoli mi więcej na takie „wybryki”, dyrektor się uspokoił i sprawa zakończyła się na niczym. Takie było moje pierwsze zetknięcie się z tendencjami rusyfikatorskimi rządu rosyjskiego. Pilnowałem się potem jakiś czas, rozmawialiśmy oczywiście z kolegami nadal po polsku, uważaliśmy tylko, żeby nauczyciele Rosjanie tego nie słyszeli. Ze strony kolegów, nawet Rosjan, nie zdarzały się nigdy denuncjacje z tego powodu. Poziom kultury był jeszcze dość wysoki. Pomimo to nie zawsze nam się udawało. Pamiętam, kiedyś w 4 klasie, już w Łodzi, kolega, który siedział w ławce obok mnie zapytał mnie w czasie lekcji trochę głośniejszą „co?”. Za ten jeden krótki wyraz siedzieliśmy obydwoj po trzy godziny w „kozio”.

Nawet mundurki, w których obowiązkowo chodziliśmy do szkoły, miały krój rosyjski. Czarna sukienna luźna bluzka z niskim sukienym stojącym kołnierzykiem, zapinanym na ukryte haftki i ściągnięta czarnym skórzanym paskiem o płaskiej prostokątnej blaszanej klamrze i także długie spodnie – stanowiły strój codzienny. Od święta był mundur galowy, granatowy z 9 srebrnymi gładkimi guzikami, które na małych mundurkach, jak np. mój, dotykały do siebie i tworzyły na przedzie jednolity łańcuch. Kołnierz tegoż koloru z wąskim srebrnym lampasem. Do tego czapka okrągła z szerokim rondem, granatowa z białymi wypustkami i czarnym skórzanym daszkiem; nad nim skrzyżowane dwie srebrne gałązki dębowe, tworzące w środku pustą

przestrzeń, na której umieszczano oznakę gimnazjum, a więc w Warszawie tylko cyfrę: 1, 2 itd., w innych miastach 2 litery rosyjskie, oznaczające miasto, np. w Łodzi Ł.G. (łódzkie gimnazjum). Palto, tzw. szynel, popielate ze srebrnymi guzikami, dwurzędowe z kontrafałdą z tyłu. Książki obowiązkowo w tornistrze. Uczniowie gimnazjów „realnych” (bez łaciny i greki) nosili także strój w innych kolorach: mundury, czapki i palta ciemnozielone ze złotymi guzikami i odznakami. Miało to wszystko tworzyć pozór wojska.

Studenci uniwersytetu nosili z początku mundury granatowe, różniące się od uczniowskich tylko podwójnym srebrnym lampasem. Potem, zanim ja zdążyłem już wstąpić do uniwersytetu, wprowadzono dla studentów mundury typu jeszcze bardziej wojskowego, ciemnozielone, dwurzędowe z niebieskim kołnierzem i guzikami złotymi z orłem dwugłowym. Czapka takiego kroju, jak poprzednio, ciemnozielona z szerokim niebieskim lampasem, bez odznak. Do tego czarne palto kroju, jak szyniele uczniowskie, ze złotymi guzikami i niebieskimi patkami lub szeroki, tzw. mikołajewki popielaty płaszcz z peleryną, bez rękawów.

Podczas wielkich mrozów nosili na czapkach „baszłyki”, tj. wysokie spiczaste kaptury z szarozółtego żołnierskiego wołoku z długimi końcami, które się okręcało koło szyi. Było to nawet wygodne, gdyż chroniło zwłaszcza uszy przed mrozem i dlatego młodzi uczniowie chętnie się w baszłyki ubierali, ale starsi już nimi gardzili, jako naleciałością ze wschodu.

Kiedy byłem w 1 klasie w 4 gimnazjum, do Warszawy przyjechał cesarz Aleksander III. Zrobiono z tego wielką paradę, a m.in. w Alejach Ujazdowskich, którymi miał przejeżdżać, ustawiono uczniów naszego gimnazjum w dwa szeregi po obu stronach Alej i kazano nam coś krzyczeć podczas przejazdu cesarza. Staliśmy i krzyczeliśmy. O żadnej opozycji nie mogło być mowy. Zresztą w niższych zwłaszcza klasach myśl o takiej opozycji nawet nam do głowy nie przychodziła. Byliśmy raczej zadowoleni, że stoimy na ulicy i przyglądamy się pięknym powozom zamiast siedzieć w dusznych klasach. Dowiedzieliśmy się później, że była to „spontaniczna manifestacja narodu, zachwyconego swoim monarchą”.

Jedną z mniej szkodliwych, choć drażniących, szykan rządu rosyjskiego w stosunku do Polaków było przymusowe iluminowanie miasta w dniach tzw. galówek, tj. rosyjskich świąt urzędowych, jak np. imieniny cesarza, rocznica wstąpienia na tron itp. We wszystkich oknach,

wychodzących na ulicę, obowiązkowo musiały się palić po dwie świece, a koło rynsztoków musiały stać szeregiem kopące kaganki, tj. napełnione tłuszczem małe doniczki, w których palił się knot. W dzień przymusowo wywieszano chorągwie, oczywiście o barwach rosyjskich. Później, po r. 1905, wyszło to jakoś z użycia, ale musiało trwać do tego czasu, gdyż pamiętam chwilę, kiedy w dniu 3 maja znaleźliśmy się w Zakopanem, które było udekorowane polskimi flagami i starszy mój syn [Stefan], który miał wtedy 6–7 lat, odezwał się: „pierwszy raz widzę polską galówkę”, a urodził się w r. 1902, musiało to zatem być w r. 1908 lub 1909, widywał więc zapewne poprzednio chorągwie podczas galówek rosyjskich. Ale oświetlenie ulic wyszło ze zwyczaju, o ile pamiętam, znacznie wcześniej, może w związku z dymisją generał-gubernatora Hurki, o czym później.

Po roku 1905 dużo się pod tym względem na naszą korzyść zmieniło. Ale jeszcze nie wszystko.

Nas uczniów wszystko to mało stosunkowo wzruszało, a nawet mundury uczniowskie nosiliśmy z dumą. Bardzo szybko zorientowałem się, że dom i szkoła – to dwa różne bieguny, że gdy chodzi o kwestie polskie, zapatrywania są diametralnie przeciwne, że to co za dobre w szkole, było uważane za złe w domu i odwrotnie. Od dzieciństwa uczono nas politykowania i obłudy. Ale prześlizgiwało się to po naszych duszach i nie sięgało głębi. A kiedy w r. 1915 Rosjanie opuścili Warszawę, ten nalot rusyfikacyjny znikł w ciągu paru godzin jakby go nie było. Przerobienie duszy narodu nie jest rzeczą taką łatwą, jakby to się mogło na pierwszy rzut oka zdawać. Wśród ludu naszego przechodzą się jeszcze gdzieś pogańskie zwyczaje i wierzenia, których nawet tysiąclecie chrześcijaństwa nie potrafiło całkowicie zatrzeć. A im bardziej bezwzględny w pewnym kierunku nacisk, tym silniejsza później reakcja.

Jedyne lekcje, prowadzone po polsku, były to lekcje religii. W jaki sposób się to utrzymywało, nie wiem, słyszałem tylko, że wszelkie próby wprowadzenia lekcji religii po rosyjsku rozбивały się o niezłomny opór naszego kleru. W czwartym gimnazjum, które mieściło się na Placu Trzech Krzyży, zwanym wówczas urzędowo placem Św. Aleksandra, na rogu Alej Ujazdowskich, tam gdzie mieściło się później gimnazjum żeńskie imienia Królowej Jadwigi, prefektem był mądry i uczony ks. Krupiński, któregośmy bardzo lubili. Umiał sobie doskonale radzić z wybrykami rozwydrzonych chłopaków. Kiedyś, gdy mówił o wszech-

mocy Boskiej, jeden z moich kolegów zadał mu pytanie: „Czy Pan Bóg może stworzyć taki ciężki kamień, żeby go sam nie mógł podnieść?”. „Podług ludzkiej logiki – nie może, podług Boskiej – tak, gdyż Boska logika jest doskonalsza od ludzkiej i nie trzeba jej mierzyć ludzką miarą”. Zamknął tym buzię figlarzom i więcej mu podobnych pytań nie zadawano. Pomimo to nawet na lekcji religii figle się nas trzymały. Kiedy ks. prefekt zapytał jednego z moich kolegów: „Jak myślisz, w którym miejscu człowiek ma duszę?”, a zapytany nie wiedział, co na to odpowiedzieć, powiedziałem po cichu: „Na ramieniu”, a ten, sądząc, że mu podpowiadam, powtórzył to głośno. Cała klasa w śmiech. Ale ksiądz spostrzegł, że to ja powiedziałem, i zamiast się rozgniewać, odezwał się tylko: „Myślałem, żeś Jezusek, a ty jesteś Herodek”.

Z dziecinnych figlów z czasów szkolnych, których było wiele, zapamiętałem jeszcze jeden. Szliśmy kiedyś do szkoły (w drugiej czy trzeciej klasie) na lekcję języka polskiego przed ósmą z rana; zebrało się nas na ulicy kilku, żeby się przyjrzyć niezwykłemu, jak dla nas, widowisku. Cała ulica była obstawiona pachołkami hycła miejskiego, którzy, zaopatrzeni w długie drągi z rzemiennymi pętlami na końcu, urządzali polowanie na wałęsające się po ulicy psy. Tuż przed gimnazjum stała ogromna buda na kołach, w której za kratą siedziało już kilkadziesiąt psów różnej wielkości i rasy. Pachołkowie chwyтали psy na pętle i po chwilowym zduszeniu pakowali do środka. Żal się nam zrobiło biednych zwierząt i w pewnym momencie jeden z nas odsunął haczyk, na który były zamknięte drzwi do budy. Okratowane drzwi otworzyły się i cała psia czereda z radosnym szczekaniem rzuciła się do ucieczki ku wielkiemu oburzeniu łowców i zadowoleniu przyglądającej się publiczności. Zemknęliśmy czym prędzej do szkoły i nikt się nie dowiedział, kto był winowajcą.

Jednym z najbardziej ulubionych figlów uczniowskich było wynajdywanie różnych podstępów w celu uśpienia czujności nauczycieli i posyłanie słabszym kolegom tzw. ściągaczek. Im klasa była wyższa, tym podstępny był bardziej pomysłowy. Piśmienny egzamin maturalny w 8 klasie – było nas 17 – odbywał się w dużej sali, w której były rozstawione jednoosobowe stoliki w odległości kilka kroków jeden od drugiego. Jeden z nauczycieli obserwował nas z katedry, drugi ciągle krążył między stolikami, podchodząc do nich i zaglądając, co i jak piszemy. Na egzaminie z matematyki spostrzegłem, że jeden z kolegów daje mi rozpaczliwe znaki, wskazujące, że nie ma pojęcia,

jak się ma zabrać do zadania. Po krótkim namyśle dałem mu znak głową, że postaram się posłać mu kartkę. Wpadłem na taki pomysł. Nauczyciele nosili za czasów rosyjskich mundury w formie fraków z guzikami typu wojskowego, a więc bardzo odstającymi. Dwa takie guziki były w pasie z tyłu. Napisałem kartkę, zrobiłem w niej okrągły otwór i, kiedy nauczyciel zatrzymał się przy moim stoliku, założyłem mu kartkę za guzik z tyłu i wskazałem to owemu koledze. Domyślił się i w odpowiedniej chwili zdjął kartkę z guzika. Było to bardzo ryzykowne, ale się udało; nie radzę jednak innym uczniom iść za owym przykładem. Wyobrażam sobie, jak by się ów nauczyciel rozgniewał, gdyby się dowiedział, że to on właśnie był posłańcem, który zaniósł kartkę.

Przypomniało mi to anegdotę o pewnym Żydzie, który prowadził gorzelnię i wszelkimi sposobami uchylał się od płacenia należnej skarbowi akcyzy, opłacanej w stosunku do ilości pędzonego w gorzelni spirytusu. Pewnego razu przybył do tej gorzelni urzędnik akcyzowy i założył nowego typu zegar do obliczania ilości spirytusu, mówiąc przy tym:

- Teraz już nie będziecie mogli szachrować.
- A kto ten zegar wymyślił? – zapytał właściciel gorzelni.
- Inżynier K.
- Ale to jest człowiek?
- Naturalnie.
- No, jak człowiek wymyślił, to inny człowiek wynajdzie sposób, żeby na to poradzić.

Figlowaliśmy zresztą, nie tylko w szkole. Kiedyś w czasie wakacji – miałem wtedy może 14 lat – jakaś leciwa panna zrobiła dużą i, jak się nam zdawało, niezasłużoną przykrość jednemu z moich towarzyszy zabaw. Postanowiliśmy ją przykładowie, a nieszkodliwie, ukarać. Mieliśmy różne pomysły, ale żaden jakoś bądź nie trafiał nam do przekonania, bądź nie można go było wykonać. Wreszcie przyjęto mój pomysł, pod warunkiem że sam go wykonam. Mieszkała na drugim piętrze w dużej willi i stale siadywała przy stoliku w otwartym przy pogodzie oknie. Wiedzieliśmy przy tym, że boi się myszy. Zdobyliśmy żywą mysz, którą w pudełku, czy też uwiązaną na sznurku (już nie pamiętam) włożyłem do kieszeni i z nią razem, pnąc się po gzymsach i załamach balkonów, wdrapałem się na drugie piętro i puściłem na stół, przy którym owa osoba siedziała.

Ze wspomnień dziecięcych, dotyczących pierwszego czy drugiego roku mojego pobytu w gimnazjum, chciałbym przytoczyć jeszcze jedno, które wprawdzie ze szkołą nie miało żadnego związku, ale utknęło mi w pamięci w połączeniu z pewnym wyrzutem sumienia. Pewnego dnia, kiedy ząb bardzo mnie bolał i wybierałem się do dentysty, dostałem od ojca rubla (tyle się wówczas płaciło) i poszedłem do dentysty Malinowskiego, którego mi ktoś polecił. Zastałem bardzo miłego zasuszonego staruszka, mogącego mieć według moich obliczeń przeszło 80 lat, który powiedział, że szkoda zęba, lepiej go wyleczyć i zaplombować, niż wyrwać. Nie znałem się na tym, wiedziałem tylko, że mnie ząb bardzo boli. Dentysta założył mi jakieś lekarstwo i polecił przyjść, zdaje się nazajutrz. Ale ząb nie przestawał mnie boleć, więc zacząłem nalegać, żeby go wyrwał. Chcąc mnie uspokoić, pokazał mi okrągłą blaszkę srebrną z białym orłem na czerwonym tle i powiedział, że to jest droga dla niego pamiątka, gdyż nosił tę blaszkę na czapce jeszcze w r. 1831. „Z tej wojny – mówił – został mi tylko ten orzełek oraz reumatyzm, którego się nabawiłem, siedząc w rosyjskim więzieniu”. Słuchałem jednym uchem, bo ból zęba się nie uspakajał. Zatrzymał mnie jeszcze jakiś czas, pokazywał zasuszone owady, wreszcie dał mi sporego jełonka. Wziąłem go, pożegnałem się i wyszedłem z zamiarem przyjścia w oznaczonym terminie. Za wizytę Malinowski nie chciał nic wziąć, odkładając zapłatę do następnego razu. Ale, na nieszczęście, idąc ulicą, przechodziłem koło domu, na którym był szyld innego dentysty. Zdecydowałem się bez namysłu, zaszedłem do niego i ten od razu wyrwał mi ten ząb bez żadnych zastrzeżeń. Ból od razu ustąpił i w pierwszej chwili byłem bardzo zadowolony. Ale później przykro mi się zrobiło, że nie usłuchałem zacnego Malinowskiego, który zajął się mną z taką serdecznością, a ja nawet nie zapłaciłem za wizytę i przy tym nie pokazałem się więcej, bo nie śmiałem spojrzeć mu w oczy, tym bardziej że przeznaczonego na dentystę rubla już wydałem, a o dalsze pieniądze nie chciałem ojca prosić. Niech to wspomnienie o pocziwym wojaku z r. 1831 będzie dla jego pamięci choć częściowym zadośćuczynieniem za krzywdę, nie tak zresztą wielką, jaką mu swoim postępowaniem wyrządziłem. Przypuszczam, że niezależnie od straty pieniężnej, musiało mu być przykro, że więcej się do niego nie zgłosiłem.

Oprócz samego wspomnienia, zdarzenie to nie raz nasuwało mi później myśl, że o ile w wielu wypadkach szybka decyzja jest pożądana, o tyle decyzja zbyt szybka i nie dość przemyślana często pociąga